BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

20

Generał podczas siedział wciąż, z głową zapartą na ręku, z oczyma utkwionemi w jakiś nieuchwytnie odległy punkt.

Pałacyk generała powoli cisza zaległa. Odszedł Kamiński ze swoją asystą. Zniknął i Fiszer i Ledóchowski. W przylegającej do antykamery komnacie rozkwaterował się już na dobre kapitan Lipski, jeno żwawe poszmery, idące z kuchni i służbowych izb, jeno łańcuch gęsty szyldwachów, otaczających pałacyk Krukowieckiego, świadczył, iż na siedzibę tę padł grom niełaski Rządu narodowego, że ramię wodza naczelnego dosięgnęło swego nieubłaganego przeciwnika.

Bem jeszcze precz gościł u generała. Właściwie stał w jadalni, zaparty o ścianę i poglądał niepewnie ku siedzącemu generałowi, którego pani Krukowiecka usiłowała wyrwać odrętwieniu.

Pułkownik co moment powtarzał sobie, że należy mu się usunąć, odejść, że nie przystoi nawet być gapiem, że winien odezwać się żwawiej i odejść — lecz gdy miał krok zrobić, ogarniało go przeświadczenie, że właśnie dopuściłby się niegodziwości. Nic mu do Krukowieckiego, nic do jego z Rządem czy Skrzyneckim porachunków — a przecież to sponiewieranie starego żołnierza zapadło Bemowi pod serce i piekło i kłuło i szarpało.

Wielki zegar w rogu jadalni zachrobotał przeciągle, cyknął sprężyną i jął wydzwaniać godzinę siódmą.

Bem przezwyciężył się i podszedł do Krukowieckiego.

— Czas na mnie do obozu!

Krukowiecki drgnął.

— A, to pułkownik!

Bem ujął Krukowieckiego za rękę i uścisnął serdecznie.

— Odchodzę, generale...

— Nie jestem już generałem! — odrzekł cicho Krukowiecki i wielka, perlista łza wyrwała mu się z pod obrzękłej powieki.

— Dla mnie, dla mnie generał nigdy nie przestaniesz!...

Krukowiecki potrząsnął głową i rozpłakał się.

X.

Gdy się to działo. Ogród Saski już huczał od wrzawy uroczystej i zniecierpliwionej ochoty, już ostatniego znaku czekał, aby fanfarami zagrzmieć, polonezami rozkołysać i po rzewnej modlitwie, do stołów. do biesiady, do płomiennych wezwań tłumy powieść i rzucić je potem szałowi wesela, zapamiętania, tanom i radości na chwałę niby wzmocnionej fetą ojczyźnie.

I ciżba różnobarwna, pstra, gorąca, falowała, kłębiła na ścieżkach i trawnikach i zdumiewała się.

Bo też pierwszy pułk gwardyi narodowej, pod przewodem imci pana Ostrowskiego, niby bal walecznym sprawiający na głowie się postawił.

Rozmaite bo, od momentu wyzwolenia, oglądał lud warszawski parady, przeglądy, gody solenne panów z narodem, szlachty z mieszczuchami, wojska ze wszystkimi stanami. Lud warszawski już się nieraz i nabeczał na polowych mszach i na całego mrowia polskiego rezurekcyach i nahasał z hułanami, czwartakami, strzelcami, piechurami. A co ostatnio, po uczcie w Ogrodzie Krasińskich, zgoła mniemał, że chyba tęższego a piękniejszego dnia nie dożyje.

Tymczasem przemyślność a zasobność pierwszego pułku gwardyi narodowej, w którym mnóstwo bogatych sługowało posesorów i kupców, już w tydzień po uczcie w Ogrodzie Krasińskich, wyprawiała fetę, która wszystkie poprzednie umiała zaćmić.

Prawda, że nie tylko podcienia rozłożystych drzew Saskiego Ogrodu i jego znaczny obszar dodały wspaniałości fecie ale i niebo samo zdawało się sprzyjać i zamysłowi pierwszego pułku gwardyi narodowej. Nigdzie chmurki pod stropem błękitów, rozpiętym ponad konarami stuletnich drzew. W powietrzu cisza, kołysana delikatnym wiewem ciepłych zefirów a ogrodowe krze, zarośla, klomby i trawniki, jakby umyślnie wymalowane, zestrojone. Tu jeszcze kiściami bzów okwitających zdobne, owdzie już głogami grające. Tu steczki okwitem kasztanowym a ówdzie akacye z jaśminami już tchną ku sobie upajającymi oddechy. Tu wychuchana, wydmuchana arystokracya cieplarnianych sadzonek, nieśmiałymi kolory znaczy linie grządek i leszek a ówdzie hołota wszelaka, lecz hołota zadzierżysta, chwacka, dorodna wypełnia trawniki, mętne, pstre kwiatuszki, nastawia dumnie wietrzykowi do czesania. I czesze wietrzyk macierduszkę ku szczawiowym listkom, rumianki w ramiona krwawnikowi podaje, płacze kiście wąsate, głaszcze trawki.

Aleć, przyznać trzeba było, że sprawność gospodarzów fety z oprawą natury szła również w paragon.

Więc najpierw brama od dziedzińca Saskiego była istnem arcydziełem. Nie wiadomo było, co więcej admirować, czyli esów girlandowych zawiłość, czyli chorągwi i chorągiewek sztuczne a wdzięczne oplątanie, czyli malowanie godeł, herbów i transparentów.

Za bramą, bokami wielkiej alei, po dwa długie, śnieżno-białe pasma stołów i stołów mięsiwem, dzbanami, pieczywem, szklanicami, butlami suto, gęsto zastawionych. I pasma te biegną hen, na przestrzał, aż kędy okrawek wolnego przestworu z drugiego skraju ogrodu do alei zagląda.

Te wstęgi stołów, od strony podcieni drzew, zdobią pasy skrzące się, łyskające bronią, grające zdala barwami, przetykane pstrymi pękami trębaczów i dobo szów.

Żółte, niebieskie, czerwone, białe, amarantowe wyłogi idą naprzemiany parami, białe kity rwą czarne, czarne łamią czerwone, po czapach piechurskich idą ułanki, po ułankach krakuski, po nich strzeleckie szkopki i znów ułanki i jeszcze żandarmskie kaski i inżenierskie hełmy i znów piechury.

I ten żywopłot trwa z bronią u nogi karny, milczący, niby obojętny, niby nie czujący, że poza nim, bokami, faluje równie zwarta, niemniej liczna wstęga loczków, trefionych główek, falbanek, spódniczek, kapelusików, chust i zapasek, — że ta druga wstęga piecze ślepkami pierwszą, że gdyby nie straże gwardyjskie, co jej jeszcze przystępu bronią, runęłaby na wyłogi, na czapy, na pałasze, na bagnety i chrupałaby je z miłowania, z porywczości, z zapamiętania serdecznego.

Z lewej od strony Saskiego Dziedzińca — znów pasma stołów ale suciej zastawionych, piękniej przybranych. A dokoła suknem wysłanych ław ciżba bezładna, gwarząca, wymieniająca ukłony, powitania, uśmiechy, półsłówka. I ciżba wytworna, strojna w generalskie kapelusze, złote i srebrne buljony, sztabowe akselbanty, adamaszkowe kontusze, batorówki z trzęsieniami, rogatywki, popielate, rozłożyste cylindry, pasterki, jedwabie, muśliny, fulary, madrasy, narodowe kokardy, ciżba skrzącą się, szeleszcząca, wyświeżona, uroczysta.

W bok od ciżby, naprzeciwko środka stołu, ołtarz, na armatach spoczywający, w zdobyte przybrany sztandary, bronią wszelaką najeżony, chorągwiami łopoczący. A na szczycie ołtarza orzeł symbol, orzeł relikwia, orzeł testament nad testamentami mocarza, którego sławy wojsko było dziecięciem, za którego przyczyną dźwignęło się, krwią spłynęło i krwią okupiło kongresowe swobody.

Tego to orła Napoleon dał pułkownikowi Szycowi przy pożegnaniu wiernych do ostatków polskich zastępów, tego to orła pułkownik strzegł, jak skarbu najdrogocenniejszego, przez lat szesnaście, ten orzeł przez szesnaście lat był tajemniczą arką przymierza, był talizmanem zaklętym, był legendowym szczerbcem, który podotąd nie dał się wykryć, który dla zmylenia śladów sobowtórem się osłonił, aby powrotu piastowych dziedziców snadniej doczekać.

I w obliczu tego orła jaskrawiej, wyraziściej grały na piersiach weteranów krzyże honorowej legii, dumniej podnosiły się szronem przyprószone głowy napoleończyków, wielkiej armii oficerów.

Z ołtarza biły nadpisy, przywodzące grochowskie olchy, zagajniki Stoczka, wawerskie pola, ostrołęckie łęgi — a między starszyzną oficerską wspomnienia rwały hen w dal, do Tczewa, Gdańska, Raszyna, Berezyny, do Tudeli, do przeszłości. I gdyby nie cywilnych dostojników o sprawach najbliższych rozhowor, gdyby nie młodzi adjutanckiej ku wachlarzom, niewieścim falbankom ostróg brząkanie — zdałoby się, żeć tu dawni wojacy przyszli gwarzyć społem o tem, co minęło i dawno i na wieki.

Dalej, w okrąg tych stołów dygnitarskich a w podłuż głównej alei, siedm polanek, siedm zielonych kobierców zręcznie wybranych a w pośrodku każdego z nich wojskowa kapela łunami mosiądzu świecąca, w krąg ustawiona ku pałeczce naczelnika swego zapatrzona. Krom tych siedmiu ósma u głównego wejścia i ta w gwardyi narodowej uniformach, ta, która na teatrze grywa wieczór w wieczór — a po dniu w mundurach występuje. W tej kapeli już krom trąb, piszczałek i bębnów są i zgoła misterne instrumenty, niby na zadokumentowanie, że i w skrzypicach i basetlowych pudłach duch poczciwy się najduje.

Cały zaś obszar ogrodu w piękny ład ujęty a granatowo-amarantowymi mundurami gwardzistów symetrycznie wytknięty. Gwardziści tu gospodarzą, oni strzegą, by tłumy ludu przystojny zachowywały przedział, by trwały w skupieniu. Oni honory czynią przybywającym dostojnikom, oglądają przy wejściu karty, decydują, kogo należy wedle zasługi czyli godności pocześniejszem uhonorować miejscem, kogo wypada do stołów oficerskich doprowadzić a kogo między gawiedź wtłoczyć. Gwardzistom przewodzi imć pan Ostrowski Władysław w wielkim mundurze z dwoma adjutantami, przewodzi a czai się u wejścia, aby conajznakomitszych personatów samemu witać, samemu honorować.

Tymczasem w miarę trwającego wciąż zjazdu kolas, w miarę napływania ludu, wzrasta jego niecierpliwość, wzrasta gorączka serdeczna.

Już po dwakroć motłoch zalegający Saski Dziedziniec, okrzykami zaalarmował Ogród, już po dwakroć główna aleja zabrzmiała komendami przedwczesnemi. Aż raptem podjazd opustoszał. Od wejścia nie widać już ani dam nadchodzących, ani poselskich kokard, ani senatorskich postaci. Tak minęła chwila krótka, jak mgnienie powiek, a dla czekającego pogłowia dokuczliwie, nieznośnie długa.

Wtem u bramy żwawiej zakręcili się adjutanci. Kapela gwardyi narodowej podźwignęła instrumenty, motłoch zahuczał okrzykami i pierwsze tony mazurka Dąbrowskiego zerwały się, pomknęły między drzewa, aleje i klomby i z siedmiu, rozrzuconych po polanach, orkiestr wtór zamaszysty dobyły.

Ogród zagrzmiał wiwatami i zwrócił się ku wejściu, od strony którego nadchodził wódz siły zbrojnej z prezesem Rządu narodowego, ministrami i świtą adjutantów.

Ogród mruknął okrzykami. Z początku niepewnymi, przytłumionymi, wahającymi — aż, jakby dopiero dostojnością oblicza i dzielnością postawy Skrzyneckiego ujęty, rozczmychał się i zagrzmiał pełną piersią.

— Niech żyje! Wiwat Skrzynecki! Hura! — Wiwat!

Aż dopiero kiedy wódz dosięgnął głównej alei, kiedy między skrzącemi się w słońcu ostrzami bagnetów i pałaszy stanął, kiedy z całą swą paradową fantazyą jął witać szeregi, odzywać się do zuchów, z całymi pułkami rozmawiać — Ogród Saski zatrząsł się od serdecznego szału.

I tłum i wojsko zgromadzone taki zapał, taka ogarnęła tęgość, że ledwie nie złamali szyków, ledwie kunsztownego nie zepsowali ładu.

Ha, bo też każde spojrzenie wodza naczelnego, każde drgnienie szlachetnej, wyrazistej, ogorzałej jego twarzy, każde skinienie ręki, każdy dźwięk jego głosu mieścił naprzemiany tyle wspaniałości i dobitności, tyle rycerskiej dumy i myśli ofiarnej, tyle bohaterskiego uniesienia i męczeńskiego smętku, że nawet zimni, nawet obojętni, nawet złośliwi, nawet szemrzący na wodza, rozgorzeli.

I Skrzynecki szedł, niby czarownik nad czarowniki, niby kapłan nad kapłany, co zakląwszy krnąbrnością grożącą mu rzeszę, znów szczytu sięgnął, znów moc odzyskał. I Skrzynecki coraz śmielej wyprzedzał ministrów, coraz mniej troszczył się, czyli nie nadto sforuje się przed Czartoryskiego. Ale i książę snać uczuł Skrzyneckiego wschodzącą gwiazdę, bo miast dotrzymywać mu kroku, czegoś osłabł, ociężał, czegoś zagadał się z idącym obok niego Slichtą.

Zapał tymczasem coraz śmielszy kształt przybierał. Żołnierze naprześcigi darli się z szeregów, wyrzucali czapami, hukali, potrząsali bronią aż jęli wołać zapamiętale:

— Prowadź wodzu! — Na bitwę chcemy! — W pole! — Na wojnę! — Na Dybicza! — Wiwat! — Pod twoim przewodem!

Skrzyneckiemu twarz rozgorzała.

— Dobrze chłopcy! — Pójdziemy! Za nasze prawo! — Pora teraz! I ja z wami, na bagnety po swoje, po kochane!...

Batalion piątego pułku strzelców, przed którymi stał był Skrzynecki, złamał szyk i rzucił się doń rozmiłowany, szczęsny, radosny. A wódz z oczyma lśniącemi oganiał się nieusłuchańcom, „dzieciom warszawskim“ a fukał, niby pleban burczymucha, który dziatwie wioskowej niby się opędza, niby ją odpycha a tuli, niby tarmosi za uszy a gładzi a hołubi.

Entuzyazm głównej alei ogrodowej tymczasem nie pozostał bez wpływu na ciżbę strojną, przed oficerskimi zgromadzoną stołami. Bo i ta ciżba, choć przybycie orszaku władzy najwyższej przyjęła z flegmą i otrzaskaniem, choć tu i owdzie kłójącą powitała go przesłanką, sarkastycznem ust wygięciem, przecież, na widok czynionych Skrzyneckiemu owacyi, zmieniła raptem zachowanie. Tak, że gdy